

Julian Piórek

**PRZEŻYŁEM – WRÓCIŁEM
GROSS-ROSEN**

Fragmenty niepublikowanego pamiętnika więźnia KL Gross-Rosen i KL Flossenbürg filii
Leitmeritz w latach 1942–1945.

Spisane przed 1972 rokiem.

1

Lata 1939–1941

[...]

Napaść hitlerowska na Polskę w 1939 r. zastała mnie w szeregach wojska polskiego. Odbywałem czynną służbę wojskową w 17 pp w Rzeszowie, w plutonie pionierów, do której to zostałem powołany w dniu 2 maja 1939 r. Do wojska szedłem z chęcią, chociaż już sytuacja polityczna w świecie była naprężona bardzo.

Wojna była nieuchronna. W sytuacji politycznej miałem pewne rozeznanie, ponieważ od młodych lat byłem zaangażowany społecznie. Zaraz po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczałem na ćwiczenia Przynależności Wojskowej, jak również należałem do Organizacji „Strzelec”. Kiedy zaczął rozwijać się ruch ludowy opuściłem szeregi „Strzelca” razem z wieloma innymi: Janem Łagodą, Andrzejem Jadachem, Janem Wilkiem; wspólnie zorganizowaliśmy koło młodzieżowe „Wieś”.

W 1936 roku byłem sekretarzem Koła Stronnictwa Ludowego, a Andrzej Jadach prezesem. W okresie strajku chłopskiego w 1937 roku policja granatowa przeprowadziła w naszym domu rewizję, niszcząc wiele przedmiotów domowych. W obawie przed represjami, w tym samym roku wyjechałem do Dęby, gdzie w ramach COP przygotowywano teren pod przyszłą wytwórnię amunicji nr 3.

W życiu politycznym Stronnictwa Ludowego brałem jednak dalej czynny udział, wraz ze Stefanem Olszowym i Andrzejem Jadachem jeździłem na wiece na terenie powiatu. W 1938 roku razem z Franciszkiem Skowrońskim zwerbowałem ekipę i podjęliśmy pracę przy wykopach pod budynki na mieszkania majsterskie w Dębie. Widzieliśmy, że tu ludność miejscowa i z okolicznych terenów była wyzyskiwana, że robotnicy z innych rejonów kraju byli lepiej płatni.

Ta rażąca niesprawiedliwość nie dawała nam spokojnie na to patrzeć. Podjęliśmy więc próby zorganizowania robotników w Związek Zawodowy. Przekazanie przez jakiegoś szpicla do policji sprawy organizacji Związku spowodowało, że Skowroński musiał uciekać z Dęby do Mielca i tam pracował jako brukarz, a ja wyjechałem do Mokrzeszowa pracować w rolnictwie. Po kilku miesiącach wróciłem do pracy w Dębie, do firmy Miller i Jędrzejewski i tam pracowałem do wiosny 1939 r., do czasu powołania do służby wojskowej. W czerwcu nasz pluton pionierów wyjechał na szkolenie do Przemyśla, gdzie były zgrupowane plutony pionierów

z kilku dywizji. Tam przechodziliśmy intensywne szkolenie z zakresu saperstwa i minerstwa. W sierpniu zostaliśmy przewiezieni do Dębna, p. Rzeszów, gdzie przybył również nasz pułk. Po przybyciu do Dębna spotkałem wielu powołanych na ćwiczenia rezerwistów. Ze znajomych spotkałem kol. Józefa Pokładowskiego, który dość pesymistycznie nastawiony był do panującej sytuacji politycznej, liczył się z tym, że na pewno te ćwiczenia przeciągną się do końca wojny.

Przed samym wybuchem wojny zostaliśmy ściągnięci do koszar, dostaliśmy całkowicie nowe wyposażenie wojskowe, wyprowadzeni z koszar do wioski Staromieście i tam rozkwaterowani. Do koszar natomiast zaczęła napływać rezerwa powołana mobilizacją. Drugiego września załadowano nas na pociąg i wyjechaliśmy na front. Wyładowano nas na stacji w Gromniku, gdzie mieliśmy odpierać niemieckie natarcie z kierunku Gorlic.

Po jednodniowej obronie zostaliśmy wycofani na Tuchów. Po przemaszerowaniu przez Tuchów i przekroczeniu mostu na rzece Białej natknęliśmy się na nieprzyjaciela, przez którego musieliśmy się przebić w kierunku na Pilzno. Stamtąd zostaliśmy skierowani w kierunku Jasła, lecz od Brzostka skręciliśmy na Strzyżów – Błazową.

W dniu 13 września forsowaliśmy bojem wioskę Jawornik Polski, uprzedniego dnia zajęta przez Niemców, ponieważ tamtędy prowadziła droga do Przemyśla, gdzie była przewidziana koncentracja. Bój o sforsowanie tej drogi trwał od godzin rannych do godz. 13, w boju pod Jawornikiem zginął dowódca 17 pp pułkownik Kotarba.

Część naszego zgrupowania przedarła się do Przemyśla, ja z garstką zostałem w okrążeniu. Było nas 36 – najstarszy rangą porucznik z Wilna. Po trzydniowym pobycie w lesie i rozeznaniu sytuacji porucznik dał nam rozkaz złożenia broni, z poleceniem dobrego jej zakonserwowania przed zakopaniem. Następnie złożyliśmy ponownie przysięgę żołnierską, że każdy w dalszym ciągu pozostanie żołnierzem i będzie bronił ojczyzny.

Podczas składania przysięgi wszyscy płakaliśmy jak dzieci. Po złożeniu przysięgi porucznik ten pożegnał się z nami i prosił, żeby każdy na własną rękę od tej chwili starał się przedostać na front, jeżeli się taki ustabilizuje, a jeżeli nie, to na każde wezwanie ojczyzny ma pamiętać, że w dalszym ciągu jest żołnierzem.

We wiosce Bartkówka przemundurowałem się w cywilne łachy i stamtąd, jak żebrak, omijając drogi, którymi jechali Niemcy, 17 września wieczorem dotarłem do domu. 29 września wrócili z uciekinierki starszy i młodszy brat. Byliśmy zwyciężeni, nikt jednak z nas nie pogodził się z przegraną wojną. Wierzyliśmy, że Niemcy zostaną pokonani, a ja że nie przestałem być żołnierzem.

W pierwszych dniach października przyjechał do brata Franciszka, który przed wojną pracował w Tarnobrzegu, kolega Władysław Jasiński z Dzikowa koło Tarnobrzegu wraz z drugim kolegą, którego nazwiska nie pamiętam. Na wspólnej naradzie, jaką odbyliśmy wtedy w Zarębkach, został opracowany plan naszej przyszłej walki z Niemcami. Jak na początek nie był zbyt skomplikowany, należało przede wszystkim odnaleźć i zabezpieczyć każdą ilość sprzętu wojskowego, to jest broń wszelkiego rodzaju, amunicję i środki łączności pozostawione przez nasze wojsko.

Do akcji tej zabraliśmy się z całym poświęceniem, nocami przeszukaliśmy wiele różnych stawów, w których rzekomo miały być potopione karabiny maszynowe. Niestety, karabinów maszynowych nie było. Zebraliśmy jednak kilkanaście karabinów mauserów, amunicję, dwie radiostacje i jeden aparat radiowy. Znajomy ze Świerczowa oferował do sprzedania 20 pistoletów Visów, ale na początku nie było środków na kupno.

Nie było również i środków do utrzymania dość licznych rodzin, trzeba nam było zdobywać środki utrzymania i równocześnie prowadzić działalność organizacyjną. Początkowo wzięłem koncesję na prowadzenie baru w Kolbuszowej, ale ten rodzaj pracy nie odpowiadał mojemu charakterowi – nie chciałem obsługiwać pijanych Niemców – więc szybko wycofałem się z tego interesu, który pochłaniał zbyt wiele czasu i nie dawał możliwości przebywania w terenie.

Nawiązałem z kolegami: Józefem Jadachem, Józefem Bogaczem, Janem Wilkiem oraz Gabrielem Hodorem kontakty handlowe w powiecie zamojskim, w Żurawnicy i Szczebrzeszynie. Tam zakupywaliśmy tytoń, mąkę pszenną oraz świnie i to przywoziliśmy na nasze wygłodzone tereny, oczywiście z olbrzymim ryzykiem. Stwarzało to możliwości utrzymania rodziny, jednak z czasem ryzyko się zwiększało i trzeba było zaniechać tego handlu. W międzyczasie z powrotem nawiązaliśmy kontakty z działaczami z okresu przedwojennego, a więc ja ze Stronnictwem Ludowym. Przez Stefana Olszowego z Kosów, który był prezesem Powiatowego Stronnictwa Ludowego, nawiązałem kontakt z Sokołowszczyzną, Kolbuszową Górną i Komorowem. Zasięgiem tworzenia grup konspiracyjnych objęliśmy cały powiat kolbuszowski. W tym czasie starszy brat Franciszek został wezwany do Tarnobrzega, do podjęcia pracy, jaką pełnił w okresie przed kampanią wrześniową. Był to rok 1940. Grupa młodzieży studenckiej skupiona wokół mgr. Jasińskiego w Tarnobrzegu rozpoczyna wydawanie, sporządzonego na powielaczu, pisma konspiracyjnego pod tytułem „Odwet”.

Potrzebne są więc maszyny do przepisywania tych egzemplarzy, ponieważ nakład początkowy pisma był niewielki. Jedną taką maszynę przekazał Jan Kwaśnik z Brzostowej Góry;

maszyna ta została dostarczona do Tarnobrzega. Wydanie tej gazetki było olbrzymim wydarzeniem – to już widomy, namacalny dowód, że walka z Niemcami nie jest zakończona, że jest konkretne działanie.

Były to pierwsze egzemplarze prasy konspiracyjnej, jakie dotarły w nasz rejon powiatu kolbuszowskiego. Praca konspiracyjna rozszerzała się i zaktywizowała, dom nasz coraz częściej był odwiedzany przez różnych ludzi, a mimo to nikogo to nie dziwiło i na pewno, gdyby nie wpadka jednego z zakonspirowanych (Dobrowolskiego z Kolbuszowej), nikt by Niemcom nie zdradził naszej działalności.

Materiały potrzebne do prowadzenia konspiracji, jak różnego rodzaju broń oraz sprzęt, były dostarczane drogą przerzutu przez Mielec za Wisłę, gdzie grupa Jasińskiego w tym czasie się rozbudowała. Po uruchomieniu redakcji pisma grupy Jasińskiego „Odwet” zająłem się kolportażem na teren pow. kolbuszowskiego, w rejon Sokołowszczyzny, Raniżowa, Kolbuszowej, na tereny Majdańskie, a nawet w okolice Jeżowego, Nowej Soli oraz w Zamojskie.

Prasa ta rozprowadzana była nie tylko przeze mnie osobiście, ale wciągnięta w to była prawie cała rodzina, ponieważ łącznicy przyjeżdżali w różne dni i o różnej porze, a ja nie zawsze mogłem siedzieć w domu i czekać, musiałem również zapracować na chleb. W czasie rozprowadzania i przewożenia prasy zdarzały się momenty bardzo niebezpieczne.

W zimie roku 1940 pobrałem prasę z domu Bogacza z Ocic, przypiąłem teczkę do roweru i wracając wstąpiłem do Brzostowej Góry, gdzie mieszkała znajoma dziewczyna wysiedlona z Huty Komorowskiej. Tam zatrzymałem się dość długo, wyjechałem do domu około godziny 3 nad ranem. Musiałem przejechać przez Majdan Kolbuszowski, w którym kwaterowali Niemcy. Po wyjeździe na szosę w kierunku Kolbuszowej, zatrzymał mnie nagle dwuosobowy patrol niemiecki. Po zatrzymaniu i znizeniu broni do strzału legitymowali mnie, ale tylko słownie – kto? skąd? gdzie jadę? Wytłumaczyłem, że jadę do Rzeszowa do sądu na rozprawę, a że nie ma innego środka lokomocji, więc muszę już wyjechać, by stawić się na czas na rozprawę.

W międzyczasie rozpracowywałem plan, jak postąpić na wypadek zażądania przepustki względnie okazania wezwania. Szukając przepustki musiałbym skorzystać z wisa, którego miałem za pasem i podjąć ryzyko walki. Widocznie moje tłumaczenie wzbudziło zaufanie, ponieważ po chwilowym zastanowieniu padło słowo – odjeżdżać!

Nie spiesząc się wsiadłem na rower, odjechałem i dopiero wtedy zrobiło mi się bardzo gorąco, mimo że była to zima. Podobnych sytuacji miałem wiele – tak musiałem uciekać

w pow. biłgorajskim w Soli, raz jeden w Krzeszowicach po przejeździe mostu na Sanie oraz w Biesiadce.

W tym czasie zgromadzono wiele broni, aparatów radiowych, maszynę do pisanie dał Jan Kwaśnik z Brzostowej Góry; część tego sprzętu odebrał brat Franciszek Piórek z Tarnobrzega, a część jeszcze była w domu.

10 lutego 1941 r. zjawilo się we wsi gestapo. Przyszli do nas do domu dopytując się o brata, który był ożeniony w Tarnobrzegu i tam też mieszkał, wzięli adres, nie robili rewizji i odjechali. Mnie ani brata młodszego w tym czasie w domu nie było, natomiast było w domu kilka karabinów oraz trzy radiostacje. Karabiny w stodole w snopkach słomy, a radiostacje schowane między workami cementu w komorze. Jak tylko zrobiło się ciemno, wszystko to zostało usunięte i schowane w złożone drewno i materiał budowlany, stanowiące własność Jana Krząstka zamieszkałego w tym czasie w Hucie Komorowskiej, a znajdujące się na uboczu. Na drugi dzień, mimo wielkiej jakiejś niechęci, wybrałem się do Tarnobrzega przestrzec brata, że go poszukują. Droga była bardzo ciężka, śnieg bardzo głęboki, szosą jechało się jak tunelem. Dojechałem do Hadykówki na górę i zmęczony wstąpiłem do Michała Łagody, by trochę wypocząć. Odpoczywając czytałem książkę Marii Rodziewiczówny „Dewajtis”.

Mimo odradzania dalszej jazdy, po wypoczynku wsiałem na rower i przed wieczorem byłem w Tarnobrzegu u brata. Brata w domu nie było, ponieważ w poprzednim dniu było po niego gestapo, ale go nie zastali, uciekł więc z domu. Była to sobota – na wiadomość, że ja przyjechałem, brat wieczorem przyszedł do domu i zanocowaliśmy razem w bocznym pokoju.

Rozumowaliśmy w ten sposób, że jeżeli byli wczoraj, to wiedzą, że każdy przestraszony nie będzie siedział w domu i czekał, tylko ucieknie, więc nie ma potrzeby się bać, gestapo nie przyjdzie, przyjdą niespodziewanie za parę dni, a my w tym czasie będziemy za Wisłą na innych dokumentach.

Tymczasem tak nie było. O godz. 1 w nocy bicie do drzwi kolbami zerwało nas ze snu, wyskoczyliśmy z łóżka i do okna, przy oknie stała maszyna do szycia, usuwamy ją i brat otwiera okno, a tu dwie lufy szmajserów nas cofają. Rozpoczynamy więc ubieranie się, wchodzi gestapo sprawdza nazwiska, bratu pozwalają pożegnać młodą żonę (ożenił się przed czterema miesiącami, żona 16 lat) i wśród szlochu pozostałych domowników wychodzimy z domu, brat po raz ostatni.

Na resztę nocy umieścili nas w więzieniu w Tarnobrzegu, obok kościoła Paulinów. Każdego osobno. Rano podjechało gestapo wozem osobowym, skuli nas z bratem za prawe ręce, wsadzili do wozu i przez Nadbrzezie zawieźli do Niska do gestapo. Po całym dniu trzymania,

zawieźli nas do Rzeszowa, do siedziby gestapo przy ul. Jagiellońskiej, tam zrobili nam zdjęcia, brata Franciszka zostawili, a mnie odprowadzili na Zamek.

Po drodze z Niska do Rzeszowa przeżyliśmy z bratem chwile strachu, ponieważ w lesie zatrzymali wóz, wysiedli, byliśmy więc pewni, że nas w tym lesie rozstrzelają, dodawaliśmy sobie odwagi, że zginieemy jak przystało na Polaków bez strachu, ale okazało się, że to była tylko jakaś drobna awaria w motorze.

Przy zapisywaniu do ewidencji w więzieniu spostrzegłem, że ostatni zapisany w książce więźniów jest ojciec, szukam drugiego brata, czy nie figuruje, ale go nie zauważyłem od razu, przeżywam dramat nie wiedząc co z resztą rodziny, nie dając jednak po sobie poznać. Gestapowiec – Flaschke to był – zalecił pojedynek, przekazał strażnikowi i poszedł.

Zostałem umieszczony w celi 50, gdzie był już drugi więzień, mocno zbity, był to granatowy policjant Zientkiewicz z mieleckiego. Rozpoczęliśmy rozmowę, po przedstawieniu się wzajemnym. Ja jednak bojąc się prowokacji, powiedziałem, że aresztowanie mnie to zwykła omyłka, która się wyjaśni. Ten jednak, po usłyszeniu mego nazwiska, powiedział, że w tej celi z nim przez jeden dzień był chyba mój ojciec, no i opowiedział mi w jaki sposób mój ojciec został aresztowany i że dopiero wieczorem ojciec został przeniesiony na inną celę.

Niestety, w nocy zabrało Zientkiewicza gestapo, by wskazać gdzie mieszka pozostała część grupy organizacyjnej. Więcej do tej celi nie wrócił, nie wytrzymał tortur, zdradził towarzyszy, a było ich około 13, z Radomyśla Wielkiego, Złotnik, z Mielca, został później wywieziony do Oświęcimia i tam nie przeżył, tak jak wielu jego kolegów – Ziobroń, Dusznicki, Osora i wielu innych.

Następnego dnia już bardzo rano przyszli po mnie z gestapo na przesłuchanie. Bezpośrednio po wejściu do gestapo pytanie w języku niemieckim, czy rozmawiam po niemiecku, odpowiedziałem im również w języku niemieckim, że nie. Kilka uderzeń w twarz kończy naszą konwersację. Dwóch oprawców prowadzi mnie do drugiego biura, gdzie stoi wieszak, na wieszaku wisi ubranie brata, kurtka, sweter i teczka.

Polecono mi rozebrać się do bielizny i wprowadzono do biura, gdzie sześciu oprawców przystąpiło do przesłuchania. Dwóch – to Potenbaum i Flaschke, trzeci – młodzik z Czermina o nazwisku Zimmermann, pozostałych nie znałem. Pierwsze pytanie, co mogę im powiedzieć na temat organizacji podziemnej, wydającej gazetę „Odwet” i czy znam tę gazetę.

Odpowiedziałem oczywiście, że o żadnej organizacji nic nie wiem, ani o gazetce też, więc nic na ten temat nie mogę im powiedzieć. „To my ci przypomnimy” – mówi Flaschke i poleca mi kłaść się na stole. Oprawcy skuli mi nogi z rękami i jeszcze raz padło pytanie, czy sobie już

przypomniałem? Na taką sytuację byłem psychicznie przygotowany – zginę, ale nie wydam nikogo. Wiedziałem, że moje załamanie, to tragedia dziesiątek ojców rodzin i innych młodych ludzi, którzy podzielą mój los, a mojego nie poprawi ani na jotę. Pytanie pozostawiłem bez odpowiedzi, rozpoczęło się więc bicie, czterech oprawców biło mnie nieludzko. Głowę zawięto mi kożuchem, aby stłumić krzyk.

Kiedy omdlewałem polewano mnie wodą, i ponownie pytania o gazetę, o pseudonimy i nazwiska. Moja odpowiedź jest tylko jedna – nie wiem nic. Zmęczeni oprawcy wreszcie rozkuli mnie i odprowadzili do piwnicy, a na górę na ponowne przesłuchanie wzięli mego brata, już wcześniej bardzo zbitego.

W piwnicy, mimo ogromnego bólu, studiowałem napisy i daty wydrapane na ścianach, zapamiętałem szczególnie jeden, który brzmiał: „zginąłem za sprawy księży i panów, a imię moje jest 44”, data 11 marca 1940 rok. W tym czasie na górze trwało przesłuchanie brata, jęki jakie dochodziły do mnie, rozdzierały mi serce, ból, którego nie mógł poskromić nawet własny ból i zadane rany, które krwawiły.

Wreszcie cisza, a potem zjawił się gestapowiec, otworzył celę i zaprowadził mnie na górę. Rozpoczyna się od pytań, na które ja udzielam negatywnej odpowiedzi i znowu tortury, ale już tym razem wyszukane, przywiązane nogi stopami do góry i bicie wyciorem od karabinu aż do krwi. Zemdlny wrzucony do łazienki odzyskuję przytomność polany wodą.

Gestapowcy klną zbryzgani krwią i przesłuchują znowu brata, który już bezsilny zaczyna się przyznawać, że czytał tę gazetę i dał mi przeczytać – wprowadzają mnie do konfrontacji. Ze współczuciem spojrzałem na brata, że tak cierpi, znając jego słabszą kondycję fizyczną nie mam żalu, że przyznawał się, ponieważ, by wytrzymać te tortury, trzeba było być mumią, a nie człowiekiem.

Na pytanie skierowane do mnie, czy przyznaję się, nie udzieliłem żadnej odpowiedzi, by jego już nie bili. Jest poniedziałek, godziny już wieczorne, miesiąc luty. Na ten dzień kończą przesłuchanie, sprowadzają mnie do piwnicy w mokrej bieliźnie, pokrwawionego, nie mogącego ustać na nogach. W piwnicy nie ma nic – kibel w kącie i tylko w drzwiach próg drewniany, poza tym posadzka betonowa i brak szyby w oknie.

Skulony usiadłem na progu. Przez nieszczelne drzwi widziałem jak brata sprowadzono do piwnicy po przekątnej od mojej celi i tam go również zostawiono. Jego jęki i pragnienie wody potęgowało mój ból, moja bezsilność oraz niemożność udzielenia mu pomocy eliminowały częściowo własne cierpienia i nie pozwalały rozczulać się nad sobą. Nad ranem wszystko ucichło.

Wtorek, rano – około dziesiątej – kroki po schodach i do piwnicy wchodzi gestapowiec, niesie dwa talerze z jedzeniem, otwiera drzwi do celi brata, ale nie wchodzi tylko stawia talerze na zewnątrz i nie zamykając drzwi biegnie na górę. Po chwili wraca z dwoma innymi i wchodzi do celi, gdzie brat leży na pryczy nieżywy. Widać to przez szczelinę obok futryny drzwi, ponieważ nasze cele były położone naprzeciw po przekątnej.

Bierze więc to jedzenie i niesie do mnie. Ponieważ gorączka trawi mój organizm, mam strasznie spieczone usta, proszę go o wodę. Gestapowiec Zimmermann spełnia moją prośbę, przynosi z góry dużą szklankę wody, jednak nie puszcza jej z ręki, pozwolił mi wypić połowę, a resztę zabrał. Jedzenie przyniesione dla brata i dla mnie pozostawił w celi, zamknął mnie i poszedł.

Był to mój pierwszy posiłek od chwili aresztowania, to jest od dwóch dni. Aresztowano mnie z soboty na niedzielę, a jest wtorek. Posiłku tego jednak nie mogłem wziąć do ust i nie mogłem przełknąć. Przeżywałem tragiczną śmierć brata, myśląc równocześnie o ojcu, który jest w więzieniu, o rodzinie w domu, najmniej interesując się własnym losem. Wiedziałem tylko jedno – nikogo nie mogę za sobą pociągnąć, aby nie wydać na żer mordercom.

Po południu zabrali mnie na górę i rozpoczęli przesłuchiwanie. I znowu pytanie o znaczenie poszczególnych haseł, od kogo pobierano prasę i kto odbierał. Odpowiedź była tylko jedna – nic mi o tym nie wiadomo. Po skatowaniu polecono mi się ubrać, więc z wieszaka, na którym wisiało ubranie brata i moje, zabrałem dodatkowo sweter brata. Zostałem odwieziony do więzienia w Zamku Lubomirskich.

Po drodze eskortujący gestapowiec Flaszka doradzał mi, żeby pójść do lekarza więziennego, to mi rany zajodnuje. W celi zastałem nowego współlokatora, był to strażnik z więzienia tarnowskiego nazwiskiem Romanowicz, aresztowany za udzielanie pomocy więźniom i przywieziony do Rzeszowa. Człowiek ten bardzo troskliwie zajął się mną, udzielając pomocy, jakiej w tej sytuacji mógł.

Środa – spokój, rany zaschły. Każdy szcęk kluczy wywołuje paniczny strach, aż do drżenia, że może to już po mnie, na ponowne przesłuchanie. Tak zeszła noc, dzień i noc. W czwartek zaraz rano szcęk kluczy, wchodzi gestapowiec i zabiera mnie do gestapo. I znowu – rozebrać się. Na wieszaku jeszcze wiszą rzeczy brata, wiem, że już nie żyje, więc obieram inny rodzaj obrony.

Na zadawane pytania odpowiadam, że to widocznie pomyłka, to może brat robił, ale ja z tym nie miałem nic wspólnego. To nie pomaga, ich metody są wypróbowane, a żeby osiągnąć zeznanie, a więc tortury od nowa tym gorsze, że pękają rany i ból dotkliwszy, częściej więc

popadam w omdlenie, ale wiem i pamiętam, że nie wolno mi do niczego się przyznać, a oni nie mogą wiedzieć nic i nie mają widać żadnych innych argumentów poza biciem.

Ponieważ moje tłumaczenia nic nie pomagają, proszę ich o konfrontację z bratem, który potwierdzi to, co ja mówię. Wściekli, ale i tego argumentu już nie mają. Zbitego odwożą mnie, ledwie żywego po całodziennym przesłuchaniu, do więzienia. Strażnicy prowadzą mnie pod rękę do celi. I znowu nieoceniona pomoc kolegi Romanowicza, który czuwa całą noc, zmienia mi okłady, a na drugi dzień prowadzi do więziennego lekarza.

Przez szereg dni panuje spokój w naszej celi, mnie nie zabiera gestapo, kolegi też nie, niemniej jednak każdy zgrzyt kraty wzbudza w nas ogromny strach, aż do drżenia całego ciała. Po jakimś czasie zabierają Romanowicza do Tarnowa, a ja popadam w chorobę, ciężkie zapalenie płuc. Lekarz więzienny usiłował trzykrotnie skierować mnie do szpitala cywilnego, jednak gestapo za każdym razem odrzucało skierowanie.

Wskutek nacisku w opłucnej zaczynało brakować mi oddechu, lekarz więzienny ze strażnikiem p. Bukalą przychodzi na celę i strzykawką wyciąga dwie nerkówki wody. Obiecał zabieg powtórzyć, a mnie zalecił stosować głębokie wdechy, by nie dopuścić do zrostów. Silny organizm i wola życia zwalczyły chorobę.

Był to wypadek wyjątkowy, jak określił lekarz, że obeszło się bez komplikacji, jeżeli zważymy, w jakich warunkach odbywało się leczenie i przy jakim odżywianiu. Paczek z domu jeszcze nie dostawałem, a w więzieniu dawali na śniadanie 200 gram chleba i zupę kminkową, na obiad kwaśną kapustę i na kolację również to samo.

Po kilku miesiącach wpadli w ręce gestapo dalsi koledzy z organizacji – Stefan Olszowy, prezes Powiatowego Stronnictwa Ludowego, Nocoń, posterunkowy policji granatowej, Aleksander Pich, Piotr Mruczek, Józef Biesiadecki. I znowu moja osoba jest przedmiotem zainteresowania gestapo, a więc następne przesłuchania i bicie, i konfrontacje.

W dalszym ciągu, mimo konfrontacji z Olszowym, nie przyznawałem się do niczego, on też. Podobnie z Noconiem, Dobrowolskim i innymi. W tym czasie zostałem przeniesiony na celę zbiorową nr 44. Po czterech miesiącach samotności czuję się w towarzystwie jak na wolności. Przychodzą znajomi, aresztowany Aleksander Pich i Piotr Mruczek – to spółka.

Swego czasu wezwali Picha na przesłuchanie; poza pytaniami o broń, o organizację, przy odpowiedniej porcji bicia zarzucali mu, że usiłuje porozumieć się ze mną, żeby się wzajemnie nie obciążać. A wtedy Pich im odpowiedział, że po co miałyby się ze mną porozumiewać, kiedy my siedzimy w jednej celi, więc możemy swobodnie rozmawiać bez żadnych zna-

ków. Zemścili się strasznie za to; gdy go przyprowadzili, mógł leżeć tylko na brzuchu, a my robiliśmy mu okłady z zimnej wody, aby złagodzić ból.

Pewnego dnia został aresztowany cały orszak weselny. Witek ze Zwięzycy przyszedł do sądu wziąć ślub cywilny, no i zabrali młodą parę i świadków. Do naszej celi dostał się świadek weselny, Waldek Sikora z Niechobrza. Tak Witek, jak i Sikora przeżyli Oświęcim i pracują w Polsce Ludowej, a o losach oblubienicy nie jest mi wiadomo, czy wróciła, czy nie.

Przez celę przewijało się bardzo wiele osób – ofiar gestapo. Z naszej grupy kolbuszowskiej, najpóźniej aresztowany Stefan Olszowy z Kosów przez 19 dni trzymany był na gestapo; co to jest może sobie wyobrazić ten, kto tam był chociaż 2 dni, bo jeżeli tylko dzień i na przesłuchaniu raz, nie ma wyobrażenia, co tam się działo. Po 19 dniach wrócił do celi sąsiedniej. Przekazał mi tylko, że nie wsypał nikogo i wkrótce jako pierwszy został wywieziony z Rzeszowa do Tarnowa razem z grupą mielecką.

Dzielnie spisał się na gestapo nauczyciel Jamrozek z Pobitna. Zawiadowcę stacji, którego nazwiska nie pamiętam, gestapo przywiozło w tak okrutnym stanie, że całe pośladki mu gnęły i mógł leżeć tylko na brzuchu.

Pomoc lekarza więziennego jednak dała rezultaty i ten człowiek po kilkunastu tygodniach wyszedł po raz pierwszy o własnych siłach na spacer. W tym samym dniu po południu został wywołany i więcej nie wrócił, został, według relacji strażników, rozstrzelany. Wszyscy przeżyliśmy to bardzo ciężko, a było nas w celi 19 osób.

Podobny los spotkał adwokata doktora Kochana, który rozpoczął w celi naukę języka angielskiego, by odwrócić uwagę aresztowanych od ich losu. Pisał wiersz, w którym scharakteryzował osobowość każdego ze współtowarzyszy i w dniu, kiedy skończył pisać, został wywołany z celi i rozstrzelany.

We wrześniu roku 1941 zostaliśmy przetransportowani do więzienia w Tarnowie. I tak zamknął się pierwszy rozdział mojego marszu na zachód, by dzielić tragedię setek tysięcy mnie podobnych, którzy nie ulegli przemocy faszyzmu.

Do więzienia św. Marcina w Tarnowie (tak nazywano więzienie, ponieważ było zlokalizowane przy ulicy św. Marcina) przywieziono nas w godzinach rannych. Zanim nas przyjęto i zaewidencjonowano było po południu i Rzesza zarobiła na kilkudziesięciu więźniach kilkadziesiąt obiadów. Razem z Aleksandrem Pichem dostaliśmy się do jednej celi na parterze, okna jej wychodziły na trupiarnię i stajnie.

W celi zastaliśmy kilku towarzyszy, spośród których zapamiętałem nazwiska tylko dwóch, a mianowicie: Jan Duma ze Stalów oraz Smiałek ze Stalowej Woli. Ponadto było kilku kolegów z Nowego Sącza i okolic oraz z Tarnowa i okolic. Wprowadził nas strażnik Buzalski, traktując dość obcesowo. We dwóch otrzymaliśmy jedno łóżko z siennikiem.

Łóżka te na dzień były przypinane do ściany, żeby na nich nie można było siedzieć. Do przykrycia mieliśmy dwie kurtki przywiezione ze sobą. Ponieważ kurtki te były za krótkie, mieliśmy przykryte tylko ramiona i piersi. Tak męczyliśmy się całą zimę 1941 roku. Przyjazd nasz nastąpił w czasie, kiedy gestapo tarnowskie wstrzymało przyjmowanie paczek dla więźniów.

Nastroje wśród towarzyszy bardzo minorowe – nie było papierosów, zaczynał się głód. W więzieniu w Rzeszowie bardzo źle dawali jeść, ale w Tarnowie jeszcze gorzej. Dzienna porcja chleba nie przekraczała 150 gram, $\frac{3}{4}$ litra zupy, w której czasami pływał liść z kapusty i dwa razy po pół litra kawy, to było całodzienne wyżywienie.

W tej sytuacji trudno było o optymistyczne nastroje. Każdy oczekiwał czwartku, ponieważ w tym dniu Caritas wydawał dla więźniów po pół litra zupy gęstej, pożywnej, no i do tego po 300, a czasem więcej gramów chleba. W sąsiedniej celi siedzieli lekarze z Zakopanego, którzy powiedzieli nam, że nawet przy tym wyżywieniu można długo wytrzymać, nawet do 6 miesięcy, byle jak najmniej wykonywać ruchów, nie zużywać niepotrzebnie kalorii.

Ta wiadomość trochę pomogła, bo każdy liczył, że taki stan długo nie może potrwać i Niemcy muszą przywrócić możliwość podawania paczek. Sytuację ratowali częściowo więźniowie karni, którzy wychodzili do pracy i mieli możliwość zdobycia żywności. Do nich też wędrowała wszelka garderoba i obuwie na wymianę za chleb.

Para prawie nowych butów tzw. oficerek kosztowała 20 kg chleba. Handel wymienny kwitł mimo licznych represji ze strony niemieckich władz więziennych. Należy podkreślić olbrzymią uczciwość jaka cechowała handlarzy, mimo powierzenia im garderoby nie było wypadku, żeby więzień więźniowi coś ukradł lub go oszukał.

Pomagali również niektórzy strażnicy. Szczególnie zasługuje na uznanie strażnik, który wyprowadzał konny pojazd z więzienia do miasta. Więźniowie ci zabierali ze sobą całą masę listów i listy te zawsze trafiały do adresatów. W listach pisano jak organizować pomoc dla więźniów. W czasie tej głodówki więzień karny Jan Duma z naszej celi dostał z domu paczkę, a w niej upieczonego psa; była to wspaniała uczta.

Był to dowód, że nasze warunki są znane społeczeństwu i że społeczeństwo w jakiś sposób chce nam pomóc. Było wielu strażników, którzy z narażeniem własnej wolności starali się

więźniom pomóc przez dostarczenie żywności, wiadomości z nasłuchu radiowego, niemieckiej prasy, która była w odpowiednim świetle komentowana.

Wszystkie te wiadomości docierały do większości więźniów. Nieocenionym wynalazkiem do przesyłania wiadomości jak też do wymiany handlowej był tzw. koń. Koń służył do przesyłania różnych przesyłek w dół i w górę, i wszczepienia, a nawet byli specjaliści, którzy konia przesyłali aż na drugie skrzydło więzienia. Warto wiedzieć, co to był za koń, który potrafił tak jeździć po więzieniu. Jak się nim posługiwano?

A więc koń, to był zwyczajny sznurek, odpowiednio długi i mocny, w zależności od tego co miało być nim przesyłane. Do końca sznurka przyczepiało się przesyłkę i jeżeli miała iść do celi w górę stukało się w sufit, żeby z góry przysłali konia, a jeżeli w dół stukało się w posadzkę lub kratę, że koń idzie do dołu i tam przez okno piętra, do którego był adresowany, był odbierany.

Jeżeli koń miał iść w bok, to stukało się w odpowiednią ścianę i przerzucało sznurek do sąsiedniego okna, a stamtąd wędrował do celi według adresu. Ten sposób porozumiewania dawał więźniom nieocenione możliwości, ponieważ pozwalał na skontaktowanie się więźniów i przesłanie wiadomości bez względu na to, w której celi się znajdowali. Pozwalało to też uzgodnić sposób zeznań na gestapo.

Następnym środkiem przekazu grupowego były miski klozetowe. W ten sposób podawano komunikaty polityczne. W czasie kiedy nie było dozwolone przysyłanie paczek więźniom, podczas rewizji w celi znaleziono żywność w wiadrze na wodę z podwójnym dnem. Na skutek tego władze niemieckie poleciły pozabierać z cel wszystkie wiadra. Jedyna woda jaka była do dyspozycji więźnia, to jest do mycia siebie, mycia naczyń i picia, to była woda doprowadzona do muszli klozetowej. Stąd też muszle musiały być zawsze idealnie czyste, a po wychłapaniu wody znajdującej się w syfonie muszli można było poprzez muszlę nadawać komunikaty, których mogły słuchać wszystkie cele na jednym pionie kanalizacyjnym, od najwyższego piętra po sutereny, a więc więźniowie z 10 cel. W taki oto sposób podawane były komunikaty „ku pokrzepieniu serc ludzkich”.

Na święta Bożego Narodzenia zostały dopuszczone paczki żywnościowe, ale zanim mogliśmy poinformować o tym nasze rodziny upłynęło sporo czasu, ponieważ listów nie wolno było pisać, a wiadomości były wysyłane nielegalnie, więc trzeba było czekać odpowiedniej okazji na wysyłanie listu. W celi były przeprowadzane częste rewizje, wtedy wszyscy byli wyprowadzani na korytarz, a strażnicy gruntownie przetrząsali wszystko w celi, sienniki i każdy zakamarek. Następnie rewizja osobista każdego.

Od czasu do czasu gestapo tarnowskie brało kogoś na przesłuchanie, a wtedy taki więzień powracał dotkliwie pobity. Nasza grupa z Rzeszowa na przesłuchanie już nie chodziła, czekaliśmy na transport do obozu. Po Nowym Roku został sformowany transport do Oświęcimia, w którym pojechali Dobrowolscy, Dec, Nocoń, z Mielca Dusznicki, Ziobroń i wielu innych.

Następny transport poszedł w marcu w niewiadomym dla nas wtedy kierunku. Okazało się, że do Gross-Rosen; transportem tym wyjechał Gienek Kuziora, Julek Dydyński, Bczerecki, Dzierwa, Ciołkosz i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam.

Pewnego dnia, o ile sobie przypominam było to 9 kwietnia 1942 r., zostało wyczytane moje nazwisko do transportu. Należy zabrać swoje rzeczy i wychodzić na zbiórkę – krzyknął Budziański.

Pożegnałem się z kolegami z celi, a zostawali jeszcze: Piotr Mruczek i Henryk Węglarz z Kolbuszowej Dolnej. Mimo że byłem na to przygotowany, że to tak się musi zakończyć i że zostanę wywieziony do obozu, to jednak fakt, że to już następuje, że idzie się znów w nieznaną, mocno mnie wyprowadził z równowagi. Starłem się jednak tego po sobie nie pokazać, a raczej usiłowałem żartować.

Gdzie mamy jechać nikt nie wiedział. Wywołano do transportu 54 osoby i wszystkich zgromadzono w jednej celi przejściówce. Tam zorientowaliśmy się kto jedzie. A więc jechali prof. Eile z Jarosławia, Roztworowski z Jasła, Gienek Kozankiewicz z Sącza, dwaj bracia Ptaczekowie z Jadownik pod Tarnowem, studenci Budzik i Niedzielski z Tarnowa, Puskarczyk z Brzeska, Antoni Gładysz z Tarnowa, Józef Biesiadecki i Stanisław Jedyński z Kolbuszowej, prof. Anzelm Bednar, Rychter, Lasoń, Łątka, Nowak, Kasprzyk, Kurmanowicz, Polański, bardzo wycieńczony młody chłopiec Polewka, Długołęcki, Stankiewicz, Sidor, Wałęga, pozostałych nazwisk nie pamiętam, czas wykreślił je z pamięci.

W celi trwała dyskusja i różne były spekulacje dokąd nas zawiozą. Warunki straszne, bo i ciasno, i każdy podniecony wywozem, niepewność dalszego losu. Trzymali nas tak cały dzień, całą noc i następny cały dzień i noc, sporządzili ewidencję, wydali depozyty. Koledzy z Tarnowa dostali paczki, bo ich rodziny dowiedziały się, że „jadą w transport”.

Niektórym doręczono nawet po parę marek niemieckich. Nad ranem, o drugiej w nocy wydano nam po 1 chlebie i wyprowadzono na dworzec kolejowy w Tarnowie. Po 14 miesiącach przebywania w celi powietrze mocno uderza w płuca, jednocześnie i osłabia, i orzeźwia. Konwojenci na ulicach miasta zachowywali się dość cicho, dopiero na stacji przy ładowaniu do wagonów pokazali co potrafią – krzyki i bicie, ładują nas do jednego wagonu, który jest

przeznaczony na pół, jedną połowę z zakratowanymi okienkami zajmujemy my, 54 osoby, drugą 6 oprawców z konwoju.

W wagonie warunki straszne, brak miejsca, żeby można było usiąść, ale drzwi zostały zatrzaśnięte i wagon przygotowany do odejścia.

Jazda w nieznane. Zgrzyt i szarpnięcie wagonem dowodzi, że opuszczamy Tarnów, jedziemy w nieznane, a co nas tam czeka, nurtowało każdego. Jedno było pewne, jedziemy na dalsze cierpienia, upokorzenia, a może i po śmierć, bo wiadomo, że okupant nic dobrego nie przygotowuje dla podbitej ludności. Niszczenie biologiczne, a przed tym wykorzystanie do maksimum sił uwięzionych.

Próby nawiązania rozmowy z konwojentami, aby dowiedzieć się dokąd nas transportują, nie dały rezultatu. W miarę upływu czasu, kiedy słońce zaczynało nagrzewać wagon, warunki jazdy stały się nie do zniesienia, brak powietrza w wagonie powodował omdlenia, krzyki, wreszcie po interwencji jeden z konwojentów wybił kolbą szybę w okienku umieszczonym pod sufitem wagonu. Poprzez szpary w wagonie rozpoznawaliśmy mijane stacje: Kraków, Trzebinia, Szczakowa, a więc nie jechaliśmy do Oświęcimia. W wagonie panowało pewne podniecenie, jeżeli nie jedziemy do Auschwitz, to już dobrze, obojętnie gdzie, byle nie tam. O Auschwitz wiedzieliśmy, jakie tam były warunki, o innych obozach nie mieliśmy tylu wiadomości, stąd też pewne spekulacje i nadzieje na przetrwanie.

A może nas dadzą do robót gdzieś do baueroów, albo do fabryki? Co do mnie nie miałem żadnych złudzeń, wiedziałem, że stamtąd, gdzie mnie wiozą, na pewno powrót będzie problematyczny. Niemniej jednak ani mi przez myśl nie przeszło, że ja mogę nie wrócić. Miałem silne postanowienie i wiarę w to, że ja muszę wrócić, obojętnie jakie ciężkie będą warunki, ja muszę przetrzymać.

Jedynie tylko rozstrzelanie lub inny rodzaj śmierci może mnie pozbawić możliwości ucieszenia moich rodziców z mojego powrotu i przekazania tego co przeżyliśmy w gestapo – ja i mój brat. W wagonie, dla skrócenia czasu oraz odegnania trapiących myśli, Roztworowski opowiadał o swoich podróżach zagranicznych, szczególnie po Rumunii i na Węgrzech. W większości słuchano z zaciekawieniem, ponieważ chwilowo odrywało to od myśli, która wierciła mózg – dokąd nas wiozą? We Wrocławiu na stacji staliśmy dłuższy czas i tam nasi konwojenci po 24 godzinach jazdy postarali się dla nas o wodę do picia.